

ALICJAWO

Paniusia - na zawsze w Sokolnikach

W swoim życiu wiele razy słyszałam opowieści z dzieciństwa mojej babci. Od kilku lat naszym rytuałem są spotkania przy herbacie i wspomnianie dziecięcych lat. Zawsze z wielkim wzruszeniem przysłuchuję się jak jedna z najważniejszych dla mnie osób przypomina sobie początki swojego życia. Często zdarza się, że babcia powtarza jakąś historię kilka razy, ale to wcale mi nie przeszkadza, wręcz przeciwnie. Jest to dobry sposób na jeszcze lepsze utrwalenie sobie tego wszystkiego, tego co najcenniejsze. Tak też stało się przy tworzeniu tej pracy, zaprosiłam ją do siebie na herbatę i zaczęłyśmy rozmawiać, a opowieściom nie było końca.

Na początku zapytałam się babci jakie jest jej pierwsze wspomnienie jakie pamięta, pierwsza myśl, obraz, dźwięk. Powiedziała żeby wyobraziła sobie, że teraz znajduje się w miejscu swojego urodzenia, w swoim domu rodzinnym, tam na Ukrainie, w Sokolnikach¹. Po chwili namysłu usłyszałam, że pamięta jak wyglądał jej dom, ponieważ zawsze było to dla niej miejsce pełne ciepła i miłości, mimo tych trudnych czasów w jakich przyszło jej się urodzić. Moja babcia urodziła się 22 sierpnia roku 1940, a więc niespełna rok po rozpoczęciu II wojny światowej.

Sokolniki to wieś położona na południowych obrzeżach Lwowa, przy drodze prowadzącej na Stryj. Na wspólnej posesji znajdowały się trzy domy, z których jeden należał do rodziny Ornowicz. Drugi dom należał do rodziny Kaszubów, a trzeci do Sochów, gdzie żona gospodarza Sochy była siostrą ojca mojej babci, czyli mojego pradziadka. Niedaleko mieszkała jeszcze niejaka dziewczynka o imieniu Zosia wraz ze swoją rodziną. Babcia ze smutkiem wspomina, że Zosia szła ze swojego domu w jej stronę, nagle się przewróciła i umarła, ale nikt nie wiedział z jakiego powodu. Kaszubowie zostali w tym miejscu najdłużej, mieli dwójkę dzieci. Córkę Wiśkę oraz młodsze dziecko, które odziedziczyło kołyskę po babci Marysi. Rodzina Ornowicz liczyła 4 osoby, a tak naprawdę 6. Moja babcia była najmłodszym żyjącym dzieckiem Jana i Agnieszki Ornowicz. Miała starszą siostrę Władysławę urodzoną w 1935 roku i młodszego brata. Urodził się w lutym 1945 roku, jednak zmarł zaraz po urodzeniu, zdołał przeżyć jedynie 3 dni. Przy chrzcie dostał imię Kazimierz, po swoim dziadku. Został pochowany koło drzewa - siódmej wierzby na cmentarzu w Sokolnikach. Z opowiadania starszych babcia pamięta, że przed jej starszą siostrą było jeszcze jedno dziecko, które urodziło się martwe.

¹ Wieś królewska, należała do najstarszych osad, która założona została w roku 1397



Fot. 1. Babcia jako dziecko w Sokolnikach



Fot. 2. Babcia ze swoją mamą w Sokolnikach

W domu mieszkała również moja praprababcia - Katarzyna Jaworska i pradziadek Jan, który pracował w kooperatywie jako księgowy, a prababcia zajmowała się domem i gospodarstwem.

Pewnego dnia Rosjanie kazali stawić się pradiadkowi niedaleko Lwowa na jakiejś polanie. Jan Ornowicz myślał że już nie wróci, był pewny, że go zabiją, dlatego przed wyjściem pożegnał się bliskimi. Był przekonany o swojej śmierci, dlatego że podczas zsyłania na Syberię chodził i ostrzegał Polaków przed tym co ich spotka. Czekał na polanie dosyć długo, ale nikt się tam nie zjawił, dlatego wrócił się do Sokolnik i powiedział rodzinie, że skoro Rosjanie go nie zabili, to on pójdzie na wojnę i jak ma zginąć, to niech będzie to właśnie tam, w obronie ojczyzny. Jak zapowiedział tak też zrobił. Udał się na wojnę, a więc dzieci zostały pod opieką mamy i babci. W międzyczasie wojsko zabrało konia. Kiedy

opuszczał dom, zabrał ze sobą rodzinne zdjęcie, na którym była jego żona wraz z córkami. Jak się później okazało, zdjęcie dodawało mu nadziei każdego dnia i po skończonej wojnie wrócił wraz ze zdjęciem do domu.



Fot. 3. Pradziadek Jan w trakcie służby wojskowej (z prawej)

W rodzinnym gospodarstwie trzymali krowy, dlatego też żeby utrzymać rodzinę, mama Agnieszka codziennie chodziła pieszo do Lwowa sprzedawać mleko. Co jakiś czas przychodziły listy od pradziadka, w których informował o sytuacji oraz miejscu swojego przebywania. Kilka z nich udało się zachować do dnia dzisiejszego. W jednym z listów przekazał, że znajduje się blisko Kołobrzegu i został ranny. W czasie okupacji niemieckiej w 1941 roku podczas kwaterowania Niemców, wydarzyła się pewna sytuacja. Mała Marysia siedziała na ziemi w swoim domu i w pośpiechu ubierała buty, kiedy nagle do domu wszedł niemiecki żołnierz i zapytał się jej „Was ist Maria?”. Babcia nie знаła niemieckiego, ale pomyślała, że to oznacza co ona robi i odpowiedziała mu „ALARM!”, ponieważ w tym momencie usłyszała dźwięk syreny oznaczający zagrożenie, uznała że trzeba się schować do schronu, gdyż zbliża się nalot. Wybiegła z domu i udała się do piwnicy wujka Sochy, gdzie znajdował się schron. Tam wszyscy bliscy wokół szukali schronienia i na szczęście wszystkim udało się przeżyć.

Pewnej niedzieli siostry wybrały się na Mszę do kościoła znajdującego się niedaleko ich domu. Babcia wspomina, że obie miały chustki, które były zupełnie różne, jednak bardziej podobała jej się ta, którą posiadała starsza siostra, dlatego próbowała ją jej zabrać, przez co niestety rozpraszała innych ludzi. Władzia była zdenerwowana na Marysię, jednak tak strasznie ją kochała, że już następnego dnia wybrała się do Lwowa i kupiła jej lalkę, która

nazywała się Panusia. Była to jedyna zabawka mojej babci w dzieciństwie, niestety zapomniała jej zabrać i Panusia na zawsze pozostała w Sokolnikach. W swoim gospodarstwie nie mieli kota ani psa, ale mama mojego taty i tak znalazła sposób na zabawę ze zwierzętami, gdyż kilka domów dalej mieszkał rosyjski oficer, który miał psa o imieniu Kokorudz. Zapytała się czy może go wyprowadzać każdego dnia, i on się zgodził. Pewnego razu, kiedy babcia chodziła z psem po podwórku, jakiś mężczyzna strzelił batem i Kokorudz zerwał się, uciekając tak szybko, że ta nie była w stanie go złapać. Wszyscy obawiali się, że Rosjanie będą chcieli rozstrzelać ich za zgubienie psa, na całe szczęście jakiś mieszkaniec wioski znalazł psa i oddał go właścicielom.

Płacisz ratę czy procent, bierz ze sobą tę książeczkę i żądaj pokwitowania.

KASA STEFCZYKA Kasa Stefczyka
Spółdzielnia z nieogr. odpowiedzialn. w Spółdzielni z nieogr. odpowiedzialn.

№ bieżący pożyczki 1177/II

Książeczka spłat pożyczki

skryptowej — wekslowej (niepotrzebne skreślić)

Księga gł. C tom II strona _____ Nr. członka w rejestrze 575

Dłużnik: Ornowicz Jan L. 241

zamieszkały w Sokolnikach

Pożyczka 200 zł na 6 rok i raty Półroczne po 18 zł gr

płatne 1/4 | 1/10 | _____ każdego rat począwszy od dnia 1/4 1939 r.

UWAGA: Tylko te wpłaty do kasy Spółdzielni uznaje się za ważne, które zostały uskutecznione w lokalu Kasy i potwierdzone w książeczce przez obu zawiadowców Kasy, t.j. kasjera i urzędującego członka Zarządu. Za wpłaty uskutecznione poza lokalem kasowym i potwierdzone tylko przez jednego z zawiadowców Spółdzielni nie bierze odpowiedzialności.

Pieczęć i podpis firmowy: _____

Czytaj przepisy podane na końcu tej książeczki.

Fot. 4. Zachowany arkusz książeczki spłat Pradziadka Jana z Lwowskiej Kasy Stefczyka

Jak słyszymy w wielu opowiadaniach o historii naszych rodaków na Kresach i w przypadku naszej rodziny nadszedł wówczas ten dzień, w którym rodzina Ornowiczów dowiedziała się, że będzie przesiedlana. Mieli jechać pierwszym transportem z Lwowa kolejnego dnia, a na podróż oprócz najpotrzebniejszych rzeczy takich jak ubrania, wzięli ze sobą jeszcze obrazy, które pochowali w drewnianych skrzyniach. Wszystko inne zostawili. Udali się wozami na stację w Lwowie, a po drodze babcia przypominała sobie, że w domu

zostawiła swoją ukochaną lalkę, niestety już nie mogli się po nią wrócić. Dojechali na dworzec kolejowy i zostali wrzuceni całą rodziną do któregoś z bydłych wagonów. W środku nie było nic, oprócz niewielkiej ilości siana. Razem z rodziną babci, pociągiem jechał wujek Socha z bliskimi oraz rodzina Zawiaślaków. Głowa tej rodziny, Pan Zawiaślak cudem przeżył i wrócił z rosyjskiego łagru. Babcia, wówczas jako dziewczynka, nie pamięta ile dokładnie mógł trwać przejazd transportu, natomiast jeden przystanek utkwiał jej mocno w pamięci i był to dłuższy przystanek w Opolu. Na boczniczy stacji pamięta bardzo dużo ludzi i w tym bardzo dużo dzieci które się bawiły, oraz słupy między którymi dzieci bawiły się w berka. Po dalszej podróży dojechali na miejsce, a dokładnie do Kłobuczyna i było to w dniu 25 marca 1946 roku, na święto Zwiastowania Najświętszej Maryi Panny. Stamtąd zostali zabrani i przewiezieni do wsi Korytów, w którym mieszkali przez pewien czas w gospodarstwie i domu Pana Kozakiewicza w małym pokoju na piętrze. Gospodarz domu był wojskowym i organizował przyjęcia kolejnych przyjezdnych z Kresów, dlatego po pewnym czasie babcia z bliskimi musiała się przenieść, poszukać jakiegoś nowego lokum, bo na ich miejsce miała przyjść inna rodzina. Tak to wówczas organizowano. Takim oto sposobem znaleźli się w Grabiku, niewielkiej wiosce zaraz obok Korytowa, w której moja babcia mieszka do dziś, a ja razem z nią. Wujek Socha dostał dom, w którym zamieszkali wszyscy razem. Z okresu mieszkania w tym domu, babcia pamięta jak dorośli mielili zboże i robili placki przypominające podpłomyki z dodatkiem zsiadłego mleka. Wspominając swoją Pierwszą Komunię Świętą babcia powiedziała, że odbyła ona na plebanii w Gaworzycach.



Fot. 4. Pierwsza Komunia święta babci

Byłam trochę zdziwiona, że nie było to w kościele ale cóż, to był wtedy ciężki okres. Po otrzymaniu sakramentu wszystkie dzieci pierwszokomunijne miały przyjęcie w dużym pokoju na piętrze budynku. Dla gości była kawa i chleb. Już rok później przyjęła sakrament bierzmowania z rąk tego samego księdza, który przygotowywał ją do Pierwszej Komunii, a był to ksiądz Walerian Zdanowicz z Kłobuczyna, który był katechetą uczącym w Szkole Podstawowej w Gaworzycach. Z racji faktu, że mój pradziadek Jan był osadnikiem wojskowym, dostał dom oddalony o kilkanaście metrów od domu wujka Sochy. To ten sam dom, w którym do dzisiaj mieszkają moi dziadkowie. Na górze nowego domu zostały po niemieckich mieszkańcach sanki oraz koń na biegunach. To było coś, czego nie można było na co dzień spotkać. Pytając się o pierwszy dzień szkoły babci, odpowiedziała że go nie pamięta, ale to co utkwilo jej w pamięci to to, że sama była bardzo nieśmiała i starsza siostra musiała ją zaprowadzać do klasy, ponieważ ona się bała. Również po lekcjach musiała na nią czekać. Szkoła w Gaworzycach była oddalona o 5 km od Grabika. Uczniowie codziennie pokonywali tę trasę pieszo przez polną drogę, nieważne czy była to mroźna zima czy upał. Ulubionym przedmiotem babci była matematyka i zawsze była dobra z tego przedmiotu. Zapewne jest to spowodowane tym, że jej tata był księgowym, a więc umiejętności matematyczne odziedziczyła po nim. Nauka nie sprawiała jej problemów, dostawała nawet książki na koniec roku w nagrodę za dobre wyniki. Najbardziej pamiętną historią szkolną jest ta z szóstej klasy szkoły podstawowej.



Fot. 6. Świadectwo szkolne babci po ukończeniu szkoły w Gaworzycach w 1949 roku

Cała klasa uczyła się tańczyć, a zaraz za ścianą był pokój nauczycielski. Babcia zauważyła, że jakiś nauczyciel podgląda uczniów przez dziurkę od klucza i wsadziła w nią ołówek, mało nie wybijając oka nauczycielowi. Oczywiście dostała za to naganę. Za każdym razem śmiejemy się całą rodziną z tej sytuacji i zastanawiamy się jak taka mała, nieśmiała dziewczynka jak babcia Marysia, zdobyła się na odwagę żeby zrobić coś takiego. W pamięci zapadło jej również to, że do szkoły przyjeżdżali dentyści i sprawdzali stan zębów uczniów. Jeśli ktoś miał chorego zęba, wrywali go od razu na miejscu. Kiedy przyszła kolej na wrywanie zęba babci, ta krzyczała tak głośno, że aż dzieci się przestraszyły i pouciekały. Ona nie chciała tracić czasu na naukę w domu, więc razem ze swoją szkolną koleżanką Janką Zawisłak uczyły się w drodze powrotnej do domu. W szkole pisały sobie rosyjskie wierszyki na kartce polskimi literami, idąc uczyły się na pamięć, a zanim doszły do domu to już wszystko umiały. Po powrocie ze szkoły była też chwila na to, żeby spotkać się ze swoją najlepszą przyjaciółką Agnieszką Markowską, która również mieszkała w Grabiku. Razem z Agnieszką pasały krowy na polnych drogach i przydrożnych rowach. Po jakimś czasie dostali konia, który był dosyć nadpobudliwy i często uciekał z gospodarstwa i przewracał się na bronach. Pradziadek postanowił go sprzedać i kupić innego, który nazywał się Mucek. Niestety nowy koń wpadł do szamba niedługo po tym jak trafił na gospodarstwo. Na szczęście udało się go uratować. Był w ciężkim stanie, ale na pomoc przyszły siostry zakonne z Kłobuczyna, które były również pielęgniarkami i akurat miały wizytę u chorego sąsiada. Podały koniu zastrzyk i Mucek wrócił do zdrowia. Tata mojej babci po przesiedleniu na tereny Dolnego Śląska pracował jako księgowy w Kółku Rolniczym. Natomiast prababcia Agnieszka zajmowała się wyrobem nabiału, który później wozila do Legnicy i tam sprzedawała. Babcia Marysia przez 5 lat chodziła do Szkoły Podstawowej w gaworzyckim pałacu, a kończyła swoją edukację w szkole obok cmentarza. Łącznie w Gaworzycach uczyła się przez 7 klas. Następnie zaczęła uczęszczać do I Liceum w Głogowie. Droga do szkoły miała dwa etapy, pierwszy odbywał się pieszo do Kłobuczyna, następnie z Kłobuczyna jechało się do Głogowa pociągiem. W liceum drogi babci znowu skrzyżowały się ze wcześniej wspomnianą Janką Zawisłak. Ze śmiechem babcia wspomina czasy, kiedy uczniowie wstawali po zadanym pytaniu przez nauczycieli, a w klasie zapadała kompletna cisza, ponieważ nikt nie znał odpowiedzi na pytanie. Pewnego razu nauczyciel przywołał do tablicy Marię Ornowicz, babcia była przerażona, ponieważ nie umiała rozwiązać danego przykładu. Obok niej siedziała koleżanka Ania, która zaoferowała, że da jej przepisać zadanie, ale babcia powiedziała, że zgodzi się tylko pod jednym warunkiem - jeśli dziewczyna wytłumaczy jej jak to zrobiła. Ania wytłumaczyła rozwiązanie, babcia zrobiła

dobrze całe zadanie na tablicy, a nauczyciel był w szoku, że w tak krótkim czasie poradziła sobie z trudnym zagadnieniem matematycznym. W szkolnej auli uczono śpiewu i sprawdzano jaki kto ma głos. Nauczycielka muzyki stwierdziła, że babcia śpiewa sopranem i od tego momentu brała udział we wszystkich akademiach z okazji różnych uroczystości. Kiedy babcia opowiada mi o latach licealnych, staram się poukładać sobie w głowie jak zmieniła się ta szkoła, ponieważ aktualnie uczęszczam do tej samej. Okazuje się, że niewiele się zmieniło. Lekcje odbywają się w tych samych klasach, a ja chodząc po korytarzach odtwarzam sobie wspomnienia babci z czasów jej nauki. Udało się jej zapamiętać, że ówczesnym dyrektorem był Pan Piwoński. Bardzo często uczniowie wyjeżdżali do PGR-ów zbierać pałki kukurydzy. Po powrocie do domu dzieci chodziły po wiosce i skubały pióra kaczek i gęsi, które później były przeznaczone na pierzyny. Babcia uczęszczała do liceum tylko przez rok, ponieważ myślała, że do niczego jej się to nie przyda, skoro i tak czeka ją praca na roli. Z perspektywy czasu żałuje, że nie skończyła szkoły ponadpodstawowej. Przez krótki okres chodziła jeszcze na przysposobienie rolnicze do Gaworzyc. Pewnego dnia mieli dyktando, które babcia napisała na 5, ale nawet dobre oceny nie zatrzymały jej na drodze edukacji. Przerwała uczęszczanie do szkoły, ponieważ praca na gospodarstwie w tamtych czasach wymagała każdej pary rąk. Zaczęła młócić zboże razem z ludźmi ze wsi, które później wożono do Gminnej Spółdzielni w Gaworzycach. Za otrzymane pieniądze kupowano nawóz. Jej praca polegała na wiązaniu słomy przy maszynie, niekiedy rozcinała snopki. W wolnym czasie jeździła ze swoim tatą do tartaku w Wilkocinie koło Przemkowa po deski, z których później zrobiono nowy sufit, aby zakryć dziurę, po bombie rzuconej podczas działań wojennych. Gospodarstwo naszej rodziny liczyło 7 hektarów i 12 arów, na których głównie uprawiano się zboże. Właściciele gospodarstw rolnych dostawali urzędowy nakaz² oddania odpowiedniej ilości zboża w ciągu danego roku. Wysokość limitu mojego pradziadka wynosiła 42 kwintale³. Limit ten wydaje się teraz bardzo mały, gdyż w dzisiejszych gospodarstwach osiąga się wydajność z jednego hektara w granicach 70-80 kwintali. Kiedy zapytałam się babci czy miała moment, w którym bała się o własne życie, odpowiedziała że nieczęsto się to zdarzało, ponieważ jej rodzice zawsze zapewniali ją, że jej bezpieczna. Jednak raz, kiedy szła sama do Gaworzyc spotkała dwóch mężczyzn, którzy krzyczeli w jej stronę „Poczekaj na żelazne kluski!”. W tamtym momencie babcia się przestraszyła i pomyślała, że chodzi tutaj o granaty lub bomby, dlatego też szybko uciekła z powrotem do domu. Z opowieści babci wywnioskowałam, że miała lepszy kontakt ze swoim tatą, dlatego pozwoliłam sobie zadać

² Urzędowy nakaz, nazywany planem

³ 1 kwintal = 100kg

pytanie czy była jego ukochaną córką. Po kilku sekundach ciszy odpowiedziała, że chyba tak i ze łzami w oczach powiedziała, że ojciec był dla niej bohaterem i za każdym razem jak nazywał ją „Maryś” czuła ciepło i bezpieczeństwo. Zawsze odczuwała jego miłość i jest mu wdzięczna za wszystko co robił nie tylko dla niej, ale też dla obcych, ponieważ właśnie dzięki mojemu pradziadkowi kilkunastu Polaków zostało uratowanych przed zesłaniem na Sybir. Jest to udokumentowane w książce Jana Baczmańskiego, pt. „Sokolniki - Bohaterska Wieś”. Mój pradziadek nosił pseudonim „Księgowy”.

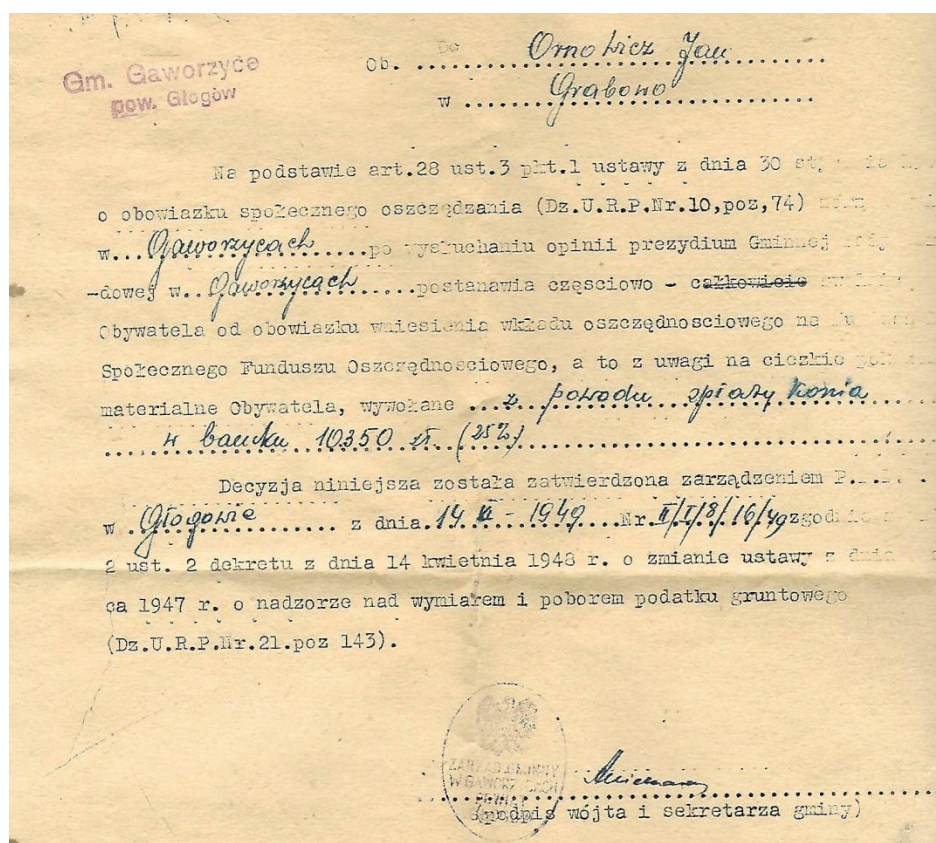
Po rozmowie z babcią w mojej głowie zrodziła się myśl, aby udać się w rodzinne strony moich przodków, choć wiem, że jest to w tym momencie niemożliwe ze względu na pandemię koronawirusa. Myślę, że po uspokojeniu sytuacji, udam się do Sokolnik, aby na własne oczy zobaczyć miejsce urodzenia mojej babci i moich krewnych. Moi rodzice byli w tym miejscu 10 lat temu i po powrocie opowiedzieli mi jak teraz wyglądają te tereny. Zarówno ich opowieści jak i każda rozmowa z moją babcią wzbudzają we mnie wzruszenie i chęć jeszcze większego zagłębienia się w historię mojej rodziny. Tworzenie tej pracy jeszcze bardziej zmotywowało mnie do tego, aby spisać dzieje moich przodków i w przyszłości, kiedy już zabraknie tych najstarszych z rodu, móc przekazać tę historię następnym pokoleniom.



Fot. 7. Żniwa w Grabiku – koniec lat 50 - tych



Fot. 8. Żniwa w Grabiku - koniec lat 50-tych



Fot. 9. Dokument pradiadka Jana – decyzja o postanowieniu wzniesienia wkładu oszczędności częściową spłatą konia w banku. Dokument z 1949 roku - Grabowo (Grabik)